

Papież jako wydarzenie

Tomasz Rowiński

Pewien specjalista od *public relations* w rozmowie na temat Papieża Franciszka powiedział mi, że jego zdaniem to pierwszy Papież, którego media w stu procentach traktują jako „wydarzenie”. Bardzo to intrygujące i pociągające stwierdzenie, przecież wszyscy chcemy, by Kościół nie tkwił w zapomnieniu, ale by jego imię i Imię Jezusa Chrystusa było na ustach całego świata. Warto jednak, żebyśmy zastanowili się, co wynika z tego stwierdzenia. Jeśli Papież całkowicie by był „wydarzeniem” i mówi to specjalista od mediów, trzeba zapytać, na ile i czy w ogóle byłby jeszcze Papieżem – użyjmy tego sloganu – byłby sobą? Pytanie to może wydawać się irytująco głupie i bezpodstawne – wiemy przecież, kim jest Papież! Jest jednak, jak sądzę, zupełnie zasadne. Chodzi oczywiście o tego Papieża ze szklanego ekranu, z monitora laptopa czy tabletu. Filtr medialny nie jest czystą szybą przepuszczającą widzom obraz takim, jakim on jest „naprawdę”. Jeśli coś jest „po prostu wydarzeniem”, to niekoniecznie jest już tym czymś, czym było wcześniej. O co chodzi? Weźmy jako przykład pewne zdarzenie, które bez wątpienia jest „wydarzeniem”. Choć wierzymy, że jednak nie jest wydarzeniem „po prostu”, czyli kreacją, ale że za przekazem działają realni kardynałowie wybierający Papieża w asystencji Ducha Świętego. Chodzi o konklawe, na które skierowane są wszystkie kamery świata, media internetowe i społecznościowe. Ktoś mógłby uznać, że to skupienie uwagi jest dowodem potęgi Kościoła katolickiego, skoro cały świat poświęca mu swoje zainteresowanie. Zatem dziesiątki czy setki stacji telewizyjnych pokazują komin Kaplicy Sykstyńskiej, z którego lada moment ma polecieć biały dym. Są emocje i oczekiwanie, podniecenie i poczucie doniosłości chwili. To wszystko możemy sobie jednak wyobrazić także w świecie, w którym nie będzie już ani jednego wierzącego-

go, ani jednego katolika, w świecie, w którym medialna kreacja ludzkiego doświadczenia przejmie dawne zwyczaje i obrzędy, by uczynić z nich jedynie widowisko – „wydarzenie po prostu”.

Wydarzenie po prostu

Widzowie wystawieni na jego oddziaływanie będą wciąż myśleć o tym, jak potężny jest Papież, jak potężny jest Kościół. To fałszywe spojrzenie mogłoby być dobrą charakterystyką czasów antychrysta. Konklawe, które tak naprawdę byłoby czymś w rodzaju „antykonklawe”. Papież mediów wystawiony na widok publiczny, przyjmujący chwałę tego świata, korzystający ze skradzionej symboliki Kościoła, a prawdziwy Papież z prawdziwego Kościoła odepchnięty od świata w gronie kardynałów przypominających żebraków. Możemy to sobie wyobrazić. Wystarczyłoby w zasadzie przeformułować pewne wątki *Pierścienia rybaka* Jeana Raspaila. Temat medialnego antypapieża to jest zdecydowanie temat literacki – może cyberpunkowy. Jednak jest to też temat publicystyczny. Jego elementy możemy zobaczyć już dziś w narracji sączonej nam do głów. W narracji tej Papież Franciszek pospołu z liberałami remontowuje („reformuje w duchu Ewangelii”) Kościół.

Ta wyobrażona możliwość medialnego antykonklawe i antypapieża, nawet dziś, gdy nie mamy, póki co, rozdwojenia osób, gdy nie spodziewamy się, by ktoś taki mógł się pojawić, jakiś antypapież-antychryst zupełnie uległy wobec świata i jego oczekiwań, powinniśmy pamiętać, że „papież jako wydarzenie”, jako „wydarzenie po prostu” jest w znacznym stopniu zagrożeniem podążania w stronę niepapieństwa. Kim bowiem jest Papież? Wiemy czy nie wiemy? Nie odpowiem na to pytanie¹, ale wskażę elementy, które łatwo możemy uchwycić – Papież to Biskup Rzymu, pasterz Kościoła, Papież to ten, który jest autorem lub sygnatariuszem dokumentów będących głosem Magisterium, głosem nauczania o wierze. Wreszcie to osoba, nie tylko urząd. Jest też kapłanem, którego widzimy, jak odprawia liturgię u grobu św. Piotra i jego następców. „Papież jako wydarzenie” jednak coraz rzadziej spotyka się z Papieżem rzeczywistym. Encykliki czy wypowiedzi Magisterium sygnowane przez rzeczywistego Papieża mają coraz krótszy żywot. Prawie nie są komentowane – za to komentuje się wpisy na Twitterze wypuszczane przez PR-owców Stolicy Aposto-

¹ Znaleźć tę odpowiedź można w „Christianitas” nr 51, pt. *Kim jest papież?*

skiej. Komentuje się zdjęcia Papieża z teczką, Papieża obok starego renault 4, Papieża na Copacabanie, Papieża wśród robotników. Nie wystarczy już na odtrutkę powiedzieć, że przecież Papież jest z nami, z Kościołem – wręcz jego Kościołem. Owszem, to prawda, i trzeba to powtarzać, ale to nie wystarczy. Papież bowiem sam wchodzi w grę tego świata, która nie jest zabawą. Obcując ze światem mediów, które wyćwiczyły nas w rozrywce zbudowanej nawet ze spraw najważniejszych, z większym trudem dostrzegamy zagrożenie tym nowym typem religijnej rozrywki. Może nawet czasem tam, gdzie wydaje nam się, że widzimy światło ewangelizacji, wygląda ku nam antytwarz. Także w przypadku Kościoła i Papieża warto pamiętać o formule McLuhana – *medium is a message*.

Kolejne odsłony papieskiego wydarzenia wywołują reakcje entuzjazmu, zachwyty, ale także kontrofensywy wobec tych, którzy obawiają się rozdzielania Papieża – tego, czym on jest faktycznie, od Papieża-wydarzenia, czyli tworzonego przez media papieskiego wizerunku. Nie tworzymy jednak wrażenia, że to tylko media. Ci, którzy mogliby próbować rozwiązywać ten dziwny węzeł komunikacyjny, wchodzi w niego, podsycając narracje, wedle których żyjemy w czasach medialnego antychrysta. Przychodzą ze swoim entuzjazmem Jonasza czekającego na zagładę Niniwy. Jednak siła nieprzyjaciela zależy w dużej mierze od naszego przyzwolenia, by wejść w tę logikę.

Papież rewolucjonista

Słabą stroną tego komunikacyjnego układu jest jednak także Papież Franciszek. Czy Jan Paweł II, który był wydarzeniem, ciążył ku byciu „wydarzeniem po prostu”? Był przede wszystkim rzeczywistym Papieżem, a czasem też Karolem Wojtyłą. Nie pozwalał, by media sterowały jego relacjami z Ludem Bożym. Kiedy piszę media, mam też na myśli watykańskich PR-owców. Żyjemy w czasach, kiedy słyszymy głównie magisterium speców od komunikacji społecznej. W mojej opinii coraz lepiej widzimy, że logika ewangelizacji jest czymś innym niż logika skuteczności przekazu *public relations*. Na czym polega jednak trudność?

By na to odpowiedzieć, wróćmy do fenomenu wydarzenia medialnego. Co ono wywołuje, już powiedzieliśmy. Oczywiście

czasem odbiór jakiegoś wydarzenia może być bardziej dyskursywny, intelektualny, to jednak rzadkość. Nad wydarzeniem panuje ten, kto potrafi je zużyć w aktualnej narracji kierującej wrażeniami – Papież pojawia się koło starego renault – biskupi jeżdżą za drogimi samochodami. Ocena sytuacji w ramach tego wyłączzonego z życia dwubiegunowego mikroukładu jest samonarzucająca. Pojawiają się odpowiednie emocje, a za nimi reakcja moralna – niebędąca jednak wynikiem głębszej refleksji, ale wyrastająca wprost ze zderzenia obrazów. Moglibyśmy powiedzieć, że to reakcja fundamentalistyczna na podobieństwo fundamentalizmu, który jest znamieniem szatana. Trafnie o fałszywym wykorzystywaniu zasad moralnych i ducha Ewangelii pisze Fabrice Hadjadj: *Oczywiście nie ma [w Piśmie Świętym] szatańskich wersetów, a jedynie szatańskie użycie wersetów, niezależnie od ich rodzaju. Szatan równie dobrze mógłby powiedzieć: Zostało napisane: «Miłuj swego bliźniego jak siebie samego, a więc śpij z dziewczyną, która cię pragnie». Albo: Znieważaj ojca swego i matkę swoją, gdyż zostało napisane: «Samemu Bogu będziesz oddawał cześć»².*

Życie religijne może się toczyć od jednego prasowego tytułu do drugiego – raz zachwyconego nowym, „rewolucyjnym” zachowaniem Papieża czy jakimś masowym wydarzeniem pokazującym „nowoczesność Kościoła”, innym razem budującym front Papieża, Ludu Bożego i całego świata przeciw Kościołowi uosobionemu w hierarchii i duchowieństwie.

Katolicyzm jako przeżycie

Jedno wydaje się tu oczywiste, jest to zastępowanie *Logosu* obecnego w Kościele jakąś inną logiką. Logiką, która posługuje się ikoną Papieża dla swoich zamiarów. Efektem (i celem?) tej logiki jest odrywanie się życia katolickiego od swoich zasad zawartych w życiu sakramentalnym, słuchaniu nauki, czytaniu dokumentów prawdziwego Papieża. Zaczyna się za to ciążenie ku „papieżowi jako wydarzeniu”, „medialnemu antychrystowi” – w którym nie odróżnia się już plotki od prawdy, wydzwięku od intencji. Skoro Papież może być „wydarzeniem po prostu”, to katolicyzm może być „po prostu przeżyciem”. Przeżycie nie musi od razu oznaczać porzucenia życia liturgicznego i *stricte* katolickiego, a jednak sądzę, że spojrzenie na dzieje religijności nowożytnej skłaniają nas

² F. Hadjadj, *Wiara demonów*, przeł. Maria Żurowska, Esprit, Kraków 2012, s. 32.

do przekonania o wyraźnym powiązaniu religijności przeżycia i sekularyzacji.

Nie chodzi także o przekonywanie, że żyjemy już w świecie, w którym Kościół został przeflancowany na lewą stronę, ale o dostrzeżenie starej pokusy pojawiającej się w nowy sposób. Religijność, którą można sterować za pomocą emocji, jest tym, co nasz nieprzyjaciel bardzo lubi. Jeszcze bardziej lubi, gdy pojawia się przekonanie, że doświadczenie emocji, wrażeń, przeżywanie swojej świadomości, a nawet wewnętrznej siły jest istotą wiary. Utrata obiektywnych, naturalnych i rytualnych, a przez to i nadprzyrodzonych odniesień prowadzi łatwo w stronę eskalacji woli, która jednak z czasem traci swoje paliwo – zarówno naturalne, kulturowe, jak i nadprzyrodzone. Nikt tego wprost nie powie o naszej sytuacji „papieskiego wydarzenia”, jednak ta pokusa wydaje się oczywista. Kolejne wpisy Franciszka na Twitterze, kolejne niekonwencjonalne zachowania i związane z nimi entuzjazm mogą stać się namiastką życia katolickiego.

Spleen i sekularyzacja

Warto zadać pytanie, jak w sytuacji niebezpieczeństwa redefinicji praktycznego rozumienia wiary zmieni się rozumienie jej kryzysu. Już nie poprzez erozję praktyki i wyznawanych prawd, zasad, racjonalności czy odpowiedzialności za świat, ale poprzez powracający spleen, znużenie, zniechęcenie monotonią liturgicznego cyklu, monotonią nużących obowiązków stanu, których sensu się już nie rozumie, ponieważ zaczynają one być zasłonięte nieustannym pobudzeniem. Przecież także powołania, które wzrosną, gdy emocje będą szczytować, przejdą ciężką próbę zwykłego chrześcijańskiego życia. Pojawia się jednak i druga pokusa – by nie ryzykować rzeczywistych duchowych oczyszczeń, ale próbować stale podbijać piłęczkę aktywizmu, spotkań modlitewnych, rozgrzewania doznań charyzmatycznych, by powołani przez emocje i entuzjazm myśleli, że takie jest całe chrześcijańskie życie.

Poszukiwanie zastępników życia nadprzyrodzonego, czyli w znacznej mierze życia sakramentalnego, jest czymś, czego doświadczały liczne wspólnoty odłączające się od Kościoła. Nadprzyrodzoność zastępowana była właśnie przez „przeżycie”, przez „świadomość” – za Marcina Lutra była to świadomość

odkupienia ćwiczona nieustannie, by nie wkradła się do niej żadna niepewność, w czasach późniejszych było to „świadome” przyjęcie Jezusa przeciwstawione rzymskiemu rytualizmowi. Także nam, katolikom, pokusa zredukowania nadprzyrodzoności do fenomenu psychologicznego nie jest obca. Tendencja taka bywa szczególnie niebezpieczna, gdy wiarę chce się oprzeć na doświadczeniu wewnętrznym, na treningu woli. Tam, gdzie rozróżnienie łaski, świadomości czy emocjonalnych uniesień jest bardzo trudne. Zwrot ku temu, co wewnętrzne, znamionuje chrześcijaństwo nowożytne, a może nawet całe drugie tysiąclecie – z jednej strony w późniejszej fazie wyniknął on z protestanckiej potrzeby znalezienia oparcia dla własnej religijności poza życiem sakramentalnym, liturgicznym i intelektualnym, jakie dawał Kościół, a z drugiej strony z katolickiej obrony przez rozpadem jedności Kościoła – najpierw na Wschodzie, potem Zachodzie – rozpadem świata klasycznego i potrzebie uformowania silnego człowieka mogącego być misjonarzem wśród tych, którzy wielu nie wydawali się nawet ludźmi.

Moc woli i erozja instytucji

Znakomity obraz takiego chrześcijańskiego nadczłowieka daje sam początek filmu *Misja*. Oglądamy tam samotnego jezuitę rzuczonego w środek lasu tropikalnego, otoczonego nieprzyjawnymi mu autochtonami. Nie może on znaleźć w tej sytuacji oparcia w niczym poza formacją, jaką dały mu *Konstytucje i Ćwiczenia duchowne* św. Ignacego. W *Konstytucjach* nacisk na osobiste ćwiczenie jest tak duży, że zdaje się przerastać to, co ostatni Sobór nazwał „źródłem i szczytem” życia chrześcijańskiego. To rys jezuicki. Jezuitą jest Papież Franciszek.

Z czasem jednak ta zdolność oparcia się na sobie – na przekonaniu o obecności Boga w duszy zaowocowała w kulturze przekonaniem, że budowanie chrześcijańskiego porządku świata – widzialnego chrześcijaństwa nie jest aż tak istotne, a właściwie niepotrzebne wobec osobistej woli zbawienia i dążności ku nawróceniu. Razem z czasami nowożytnymi rozpoczyna się erozja klasztornego życia liturgicznego, ale także erozja rozumienia sensu wszelkich instytucji społecznych – trwa praca nad sumieniem, nad cnotami osobistymi w coraz większym oderwaniu od wspól-

notowego życia Kościoła. W kulturze świeckiej czy protestanckiej ta degeneracja postępuje, jak się zdaje, jeszcze szybciej. Życie wewnętrzne, które staje się skrytką przed światem podlegającym dalszemu rozpadowi, odczarowaniu i mechanizacji, kończy się razem z Freudem.

Z perspektywy katolickiej możemy powiedzieć, że odkrycie tradycji jako hermeneutyki pozwoliło znów jaśniej zobaczyć, dlaczego życie kościelne, sakramentalne, liturgiczne jest właściwym weryfikatorem i narzędziem rozpoznawania poruszeń wewnętrznych, które nie są samoistne. Bez niego spłyca się ono do poziomu psychologii i podlega dekonstrukcji psychoanalitycznej. Porzucenie zainteresowania widzialnym światem, do którego należy także instytucja naszego zbawienia, czyli Kościół, a także odczarowanie ostatniej z „twierdz” duchowości wypłukiwanej z nadprzyrodzoności, czyli świadomości, kończy się sekularyzacją. W procesie tym wzięli także udział jezuita – jako pierwszy zakon przedkładając rachunek sumienia nad wspólną liturgię godzin.

Dzisiejsza sytuacja związana z pontyfikatem Papieża Franciszka jest w jakiś sposób analogiczna do tej historycznej. Oto mamy Papieża jezuitę, który śmiało wkracza w dżunglę naszego świata, w media – robi to jak bohater *Misji* – bez rozeznania stara się wczuć w nastroje „obcych” i je ewangelizować. W przeciwieństwie do bohatera filmowego nie jest jednak sam, podążają za nim także jego wierni, którzy przynajmniej w części prawdopodobnie nie potrafią odróżnić zachwyty i entuzjazmu od prawdziwej siły. Co więcej, sytuacja jezuita Papieża też jest inna. On sam być może nie jest w stanie dokonać koniecznych rozróżnień i prowadzić wielu, przekonując, że możliwa jest nadprzyrodzoność Kościoła bez uszanowania natury człowieka, bez widzialnych punktów odniesienia naszej wspólnoty. Natury, która nie może być mylona z letniością. Tak jakby komunikat nie potrzebował właściwego środka. Bez tego życie i wiara opierać się będą na tym, co ich wewnętrznie unosi – gdy fala opadnie, może zostać tylko muł sekularyzacji.

Papież z krawędzi sekularyzacji

Sam Papież także, już przez fakt bycia jezuitą, stoi na krawędzi świata sekularnego, porzucającego to, co w świecie wspiera reli-

gijność. Jakby z trudem zauważa, że instytucje naszego zbawienia pomagają nam w naszym chrześcijańskim życiu, a nie przeszkadzają. Liturgia, strój duchowny, szacunek wobec kapłana, chrześcijański ład społeczny i polityczny, prawna ochrona życia, a nawet środki materialne w gestii biskupa. Oczywiście nie chodzi o wspieranie kościelnego konformizmu mylącego tradycję z nawykami, czasem niezbyt godnymi pochwały. Wiara przychodzi z zewnątrz, nie z wewnątrz – tak było za czasów dawnego Przymierza, tak było, gdy w ciele narodził się Syn Boży, tak jest teraz.

Papież jako wydarzenie to Papież, który jest antypapieżem (antychrystem) – wydarzenie nie ma kontekstu, który mu nada twórca przekazu, nie ma ciągłości – powstaje tu i teraz, dobiera sobie dowolny budulec, jest jak majsterkowanie – nie wskazuje na to, co jest trwałe, ale każe nam patrzeć do środka na przeżycie i robić wszystko, by było ono jak największe. Bohater „wydarzenia po prostu” bywa aktorem, błaznem, marionetką, ale nie kapłanem – reprezentuje bowiem tego, kto kieruje na niego kamerę, udaje, że jest głosem Kościoła, choć nim nie jest. ■